



Magnolia



Iza Maciejewska

WOLFF

MIŁOŚĆ · WŁADZA · EPILEPSJA

Iza Maciejewska

wolff

MIŁOŚĆ • WŁADZA • EPILEPSJA



*PS. Moc uścisków dla Asi i Adiego. Dziękuję za cenną lekcję
o epilepsji.*

Prolog

- Szkoda, Melka, że musisz już jechać. Impreza się dopiero rozkręca, a Marcin oka od ciebie nie mógł dzisiaj oderwać. Wcale się nie zdziwię, jeśli właśnie teraz zmierza do łazienki, żeby zrobić sobie dobrze. Stał mu cały czas. Widziałam. Mam tylko nadzieję, że nie robi tego nad moim nowym marmurowym zlewem. - Olga udała, że wymiotuje.

- Ty naprawdę musiałaś mu patrzeć na rozporek? - Odpowiedź na to pytanie była oczywista.

Amelia przytuliła kuzynkę i wsiadła do samochodu. Wzmiankę o Marcinie zignorowała. Przy każdej nadarzającej się okazji Olga próbowała swatać ją ze swoimi kolegami, uważając, że w taki sposób zrobi jej dobrze. I poniekąd miała rację, bo zapewne skończyłoby się to palcówką, minetką i seksem, czyli z zasady przyjemnym spędzeniem czasu. Tyle tylko, że Mela miała swoje powody ku temu, aby ograniczać kontakty z męską częścią populacji do absolutnego minimum.

Przekręciła kluczyk dwukrotnie, bo jej wysłużony fiacik panda potrzebował niekiedy nieco dłużej pomyśleć, nim włączył się do ruchu. Zegarek na desce rozdzielczej wskazywał na godzinę dwudziestą pierwszą, czyli jak na weekend było bardzo wcześnie. Oczywiście dla tych, którzy dopiero zaczynali imprezować. Amelia nie miała jednak ochoty na sobotnie szaleństwa, za to na gorącą kąpiel i wsadzenie nosa w książkę to i owszem. I właśnie w taki sposób chciała spędzić resztę wieczoru. Wcześniej jednak złożyła wizytę swojej kuzynce, która organizowała trzydzieste urodziny męża. Mela uznała, że pojedzie do Olgi i Łukasza, posiedzi u nich godzinkę i wymówi się bólem głowy, ucha, brwi, paznokci, sutka, łechtaczki - no, czegokolwiek. Była w tej komfortowej sytuacji, że mogła mówić, że czuje się źle, i wszyscy jej wierzyli. I to nie dlatego, że potrafiła w sposób wyjątkowo przekonujący kłamać, tylko dlatego, że chorowała na epilepsję i cała rodzina obchodziła się z nią jak z jajkiem. Co niekiedy było irytujące, a niekiedy znowu zbawienne.

Do dwudziestego pierwszego roku życia Amelia miewała regularne napady, co miało ogromny wpływ na jej psychikę. Żyła w ciągłym strachu przed kompromitacją i ludzkim gadaniem. Bała się, że napad nastąpi w szkole, w sklepie, podczas jazdy rowerem, na podwórku czy też w trakcie kąpieli. Bali się o to również jej najbliżsi, którzy gdyby tylko mogli, pełniliby wartę honorową przy łóżku Amelii. I Mela na to bez mała pozwoliła, gdyż jej mama wstawiła do jej pokoju fotel do spania, chcąc czuwać nad nią w dzień i w nocy.

Jednym z najgorszych wspomnień z tamtego okresu było to, gdy dostała ataku w autobusie, którym jechała z mamą. Pasażerowie wystraszyli się tym, co zobaczyli, a ich wiedza na temat epilepsji była znikoma. Tego dnia – poobijana i z rozciętym łukiem brwiowym, gdyż uderzyła głową w najbardziej ostry kant, jaki znajdował się w całym autobusie, co było kolejnym potwierdzeniem jej życiowego pecha – tego dnia wmówiła sobie, że wszystko straciło dla niej sens. Los chciał, że kilka tygodni później trafiła na pewien wirtualny dziennik pisany przez matkę chłopca chorego na epilepsję. Mały Damian miał obecnie dwanaście wiosen i chorował od ośmiu lat, czyli ponad pół życia spędził w towarzystwie padaczki. Gdy Mela skończyła czytać, zalała się łzami, uświadamiając sobie, że jego matka chorowała razem z nim. Może nie fizycznie, ale psychicznie już tak.

Podobnie było z jej własną rodziną.

Po przeczytaniu wszystkich przemyśleń spisanych przez mamę małego Damiana Amelia uzmysłowiła sobie, gdzie popełniła błąd i dlaczego tak ciężko się jej funkcjonuje. To właśnie wtedy postanowiła, że ona oraz jej epiprzyjaciółka muszą rozpocząć nowe, lepsze życie. Aby do tego doszło, należało wyzbyć się strachu, tym samym zaakceptować życie z epilepsją.

Kolejnym etapem było oswojenie choroby.

Oczywiście nieco trudniej przyszło jej wyperswadowanie najbliższemu nieustannej opieki i przekonanie ich, że ona jest w stanie radzić sobie w wielu kwestiach sama. Pomógł jej w tym

wrodzony upór. Małymi kroczkami, ale doszła do upragnionego celu. I jakoś tak się stało, że niedługo później ataki ustały, tym samym wszystko zaczęło wskazywać na to, że Amelia i jej epilepsja dogadują się bardzo dobrze, nie wchodząc sobie przy okazji w drogę.

Gdy od ostatniego napadu minęły nieco ponad dwa lata, Mela mogła nawet wystarać się o prawo jazdy. Co prawda gorzej było z wyegzekwowaniem u najbliższych własnego auta, bo przecież i jej mama, i tata, i młodszy brat byli święcie przekonani, że ledwo wyjedzie z domu, wpadnie w trans, uderzy w pierwsze napotkane drzewo i się zabije. O przypadkowym przechodniu, którego na pewno przy okazji pozbawi życia, słyszała już ze sto tysięcy razy. I pewnie uległaby tym nadopiekuńczym szantażom i siedziała tyłkiem w jednym miejscu, gdyby nie babcia Janka, która, mimo swych prawie osiemdziesięciu lat, wykazywała się nad wyraz młodzieńczym hartem ducha i takim samym uporem. To właśnie ona przekonała swojego zięcia do zakupu auta dla wnuczki, tym samym umożliwiając jej względnie normalne funkcjonowanie. Koniec końców Amelia stała się posiadaczką podstarzałego fiata panda, który mimo tego, że rzeźił czasem niemiłosiernie, jeszcze nigdy jej nie zawiódł.

Dbiała o auto, dbała o siebie, badała się regularnie i cieszyła tym swoim nudnym życiem bez padaczki, ale za to z prawem jazdy.

- Lampa nad progiem i krzesło, i drzwi, wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał. Woda i ogień powtarza wciąż mi, że mnie ktoś pokochał dziś. - Z głośnika samochodowego radia wydobywała się dobrze znana melodia, którą Amelia nuciła sobie pod nosem.

To akurat mogła robić, chociaż niekoniecznie umiała.

- O cholera! - Wykrzyknęła nagle, wciskając hamulec w podłogę.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, a serce zaczęło bić bardzo szybko.

Rozdział 1

Aleksander Wolff zdawał sobie sprawę z tego, że prędzej czy później może skończyć z zaklejonymi ustami, dłońmi związanymi za plecami i workiem na łbie, niedbale zapakowany w przepastny bagażnik czarnego mercedesa. Problem polegał tylko na tym, że według niego dzisiejszy dzień był bardzo nieodpowiednim momentem na tego typu zabawy.

Według gości, którzy wieźli go chuj wie gdzie, pora była wręcz idealna.

Orientacja Aleksandra, która swoją drogą była niezgorsza, mówiła mu, że jechali już dobrą godzinę z dość zawrotną prędkością. Czyli wszystko wskazywało na to, że byli na autostradzie. Czyli wywozili go ze stolicy. Dla niego nie było ważne to, w którą stronę jechali, bardziej istotne było, ile czasu mu zostało, aby się uwolnić i zniknąć z bagażnika, nim ktokolwiek się zorientuje. Był skłonny założyć się o grubą kasę, że niebawem dotrą do celu podróży, możliwe, że do jakiegoś lasu, z miękką ściółką, idealną do zanurzenia w niej łopaty.

„Mowy nie ma – pomyślał zdeterminowany – dziś nie umrę”.

Problemem było tylko to, że z niego taki David Copperfield jak z koziej dupy trąba, a jedyna sztuczka magiczna, jaka mu wychodziła, polegała na oszukiwaniu skarbówki. Od momentu gdy został wpakowany do bagażnika i auto ruszyło przed siebie, robił wszystko, aby ściągnąć z nadgarstków krępujące go więzy. W chwili, w której samochód nieco zwolnił, jego determinacja wzrosła kilkukrotnie.

„Pieprzony czasie – myślał coraz bardziej poirytowany – czy naprawdę całe nasze życie musi się kręcić wokół ciebie? Czy ja nie mam swojego anioła stróża, który mógłby mi w tym momencie pomóc? Czy ja naprawdę sobie na to zasłużyłem?” No dobra, musiał przyznać w duchu, bo głośno nie bardzo mógł, zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało, i jeśli miałby być szczery, to nawet pożałował kilku rzeczy, których się dopuścił. Jednak kogo to teraz tak naprawdę obchodziło? Chyba tylko jego, ale przecież powinien mieć świadomość, że co jak co – w tym bagażniku to on sprawiedliwości na pewno nie uświadczy.

A może jednak uświadczy? Może jednak jego anioł stróż go wysłucha?

Po długich i mozolnych próbach oswobodzenia się w końcu zsunął z jednej ręki gruby węzeł, który krępował jego dłonie. Kilka sekund później uwolnił drugą, ściągnął worek z głowy i odkleił taśmę z ust.

Zabolało.

Uznał, że połowa sukcesu za nim. Teraz trzeba się uwolnić z bagażnika i spieszyć w najbliższe krzaki. O ile w ogóle będzie taka możliwość, bo przecież nie miał pojęcia, gdzie go wiozą. To równie dobrze mógł być las, pustostan czy też jakiś dom otoczony wielkim murem. Gdyby mógł wybierać i jeszcze raz poprosić swojego anioła stróża o pomoc, wybrałby las.

Gęsty las.

Samochód zaczął zwalniać, a do uszu Aleksandra dotarł szum aut, które najprawdopodobniej jechały z naprzeciwka. Wszystko wskazywało na to, że czekali, aż będą mogli skrócić. Chwilę trwało, nim wykonali manewr. Znowu jechali dość płynnie, chociaż już nie tak szybko jak wcześniej.

I znowu kolejny skręt, wjazd na dziurawą drogę i powolna jazda przed siebie.

„Raz kozie śmierć – uznał, pałając niesamowitą potrzebą improwizacji – albo teraz, albo wcale”. Przekręcił się na plecy, błogosławiąc to, że jego porywacze jechali autem z naprawdę dużym bagażnikiem, tym samym mógł poruszać się w nim dość swobodnie. Oczywiście nie tak, jak by sobie tego życzył, ale jak się nie ma, co się lubi, to wiadomo, człowiek żywi sympatię do wszystkiego, co niesie mu ukojenie. Przyciągnął kolana do klatki piersiowej, układając stopy tak, że podbiciem dotykały bagażnika. Przymknął na chwilę powieki, nabrał powietrza i napał nogami z całej siły do przodu, pomagając sobie dłońmi.

Kłapa nie ustąpiła, za to auto jakby znowu zwolniło.

Nie miał wyjścia, spróbował jeszcze raz i jeszcze jeden. I dopiero przy trzeciej próbie ta nieszczęsna kłapa, która była jedyną przeszkodą do odzyskania wolności, ustąpiła i wystrzeliła w górę. Potrzebował zaledwie dwóch sekund, żeby wyskoczyć z samochodu

i potykając się o własne nogi, pobiec przed siebie. Jeszcze tylko przeskoczy przez jakąś działkową bramę, sforsuje siatkę po drugiej stronie, upadnie i znajdzie się w upragnionym gęstym lesie.

Oczy Aleksandra powoli przyzwyczajały się do ciemności, która była w tym momencie jego jedynym sprzymierzeńcem. Biegł przed siebie ze świadomością, że te psy gończe siedzą mu na ogonie. Z oddali słyszał ich krzyki i wyzwiska i chociaż miał ochotę się zatrzymać i zacząć za którymś drzewem, żeby powyłapywać ich w pojedynkę, rozkwasić im nosy, o wyrwaniu jaj z korzeniami nie zapominając, to wiedział też, że musi być w tym momencie niczym Forrest Gump.

Jego zdecydowanie sprytniejsza wersja.

Przedzierał się przez zarośla, potykał, upadał i wstawał, aż znalazł się na leśnej drodze, oświetlonej blaskiem księżyca. Dostrzegł zarys podwójnych świateł, które zmierzały w jego kierunku. Przełknął nerwowo ślinę i w pierwszym odruchu chciał wbiec na powrót w las. Coś mu jednak powiedziało, żeby się lepiej przyjrzał rozstawowi reflektorów w aucie.

Nie był to mercedes.

Był to dużo mniejszy pojazd.

Auto zahamowało gwałtownie tuż przed nim. W środku siedziała kobieta i chociaż spowijała ich ciemność, a jedynym źródłem światła były samochodowe reflektory i kontrolki, to minę miała taką, jakby zobaczyła jakiegoś ducha. Przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy Aleksandra. Byłby skłonny podzielać jej zdanie, gdyby tak jak ona znajdował się w bezpiecznym samochodzie, a przed maską pojawił się nagle jakiś człowiek. Mimo tego, że niewidzialny stryczek zawieszony na jego szyi zaciskał się coraz mocniej, zachował zimną krew.

Ta kobieta musiała mu pomóc.

To znaczy nie musiała, jednak miło by było z jej strony, gdyby tak właśnie postąpiła.

Przesunął się w kierunku drzwi kierowcy, dłonie oparł na szybie i nie bardzo wiedząc, czy ona usłyszy cokolwiek z tego, co do niej za chwilę powie, uznał, że chociaż spróbuje przemówić do jej człowieczeństwa. Gdy przeszedł do momentu o wpakowaniu go do

bagażnika przez bardzo złych ludzi, auto gwałtownie ruszyło przed siebie.

- Za grosz kultury. Co za wieśniara. - Spojrzał po raz ostatni, jak jego niewykorzystana szansa na ratunek odjeżdża i gdy już, już miał ponownie wbiec do lasu, zobaczył, że samochód się zatrzymał, o czym świadczyło czerwone światło stopu, a potem... potem włączyło się białe światło cofania.

- Przysięgam, że jeśli spróbujesz mnie zgwałcić albo będziesz chciał zabić, to na ciebie zwymiotuję. - Właścicielka auta, gdy tylko znalazła się na powrót obok niego, tym razem z otwartą szybą, powitała go tymi właśnie słowami. Było tak ciemno, że Aleksander widział tylko mało atrakcyjny zarys jej twarzy.

- Nie jesteś w moim typie, ale za to możesz mi pomóc. Tylko błagam, nie pytaj o szczegóły. Nie teraz. - Miał bardzo przyjemną, niską i nieco ochryplą barwę głosu.

- Wsiadaj. - Nie musiała go zapraszać dwa razy.

- Czy możesz jechać nieco szybciej? - Gdy znalazł się w samochodzie, obejrzał się za siebie, sądząc, że za moment z leśnych czeluści wyskoczą jego porywacze. „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie” - pomyślał wkurwiony do granic możliwości. Miał oczywiście na uwadze siebie i zajęcie, którym brudził sobie na co dzień ręce, a które w bardzo satysfakcjonujący sposób zasilało jego bankowe konto. Dziesiątki razy pakował kogoś do bagażnika, jednak gdy sam spojrzął na świat z tej samej perspektywy, no cóż, uznał, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

W tym przypadku leżenia.

- Po tych dziurach? Szybciej nie da rady. - Amelia bardzo chciała zapytać tego człowieka o to, kim on w ogóle jest i co robi w środku lasu, ubrany w garnitur. Wątpiła, aby był na spotkaniu biznesowym, odbywającym się pod starym dębem. Grzybobranie też raczej nie wchodziło w grę. Może biegi przełajowe w marynarkach? Taka nowa atrakcja na korpoimprezach firmowych, a hasło przewodnie to „kilometr do premii”.

- A czy możesz jechać przez chwilę bez świateł? - przerwał jej rozważania.

- Mogę. - Spełniła jego prośbę, która brzmiała jak rozkaz.

- Gdzie my jesteśmy? - Zdjął z szyi krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli.

- W lesie - udzieliła mu bardzo szczegółowej odpowiedzi. I trudno, że oszczędnej w słowach.

- Wiem, Sherlocku, że jesteśmy w lesie. Przed momentem go zwiedziłem. Ufam jednak, że nie jest to las Sherwood w hrabstwie Nottinghamshire?

- Nie, Watsonie, nie jest to las Sherwood w hrabstwie Nottinghamshire. Znajdujemy się w lesie nieopodal Łodzi. Adaś Miauczyński mieszkał w Łodzi.

- Oczom ich ukazał się las... krzyży. Łódź, kurwa. - Aleksander nie mógł sobie darować przytoczenia cytatu ze swojego ulubionego filmu.

- Jeśli wspomnisz coś o podskakującym, grzechoczącym i karłowatym pierdzielu, wysiadasz. - Mela również uwielbiała „Nic śmiesznego”, gdyby jednak ten człowiek użył tego porównania w stosunku do jej fiacika, chyba wydrapałaby mu oczy. Woląła więc zastosować ostrzegawczą profilaktykę. - Mogę już włączyć światła?

- Tak.

- Od razu lepiej - powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

- Czy użyczysz mi na chwilę swojego telefonu? - Usłyszała kolejne pytanie-rozkaz.

Zerknęła na mężczyznę.

Tak naprawdę sama nie wiedziała, dlaczego mu pomogła, skoro w pierwszym odruchu nacisnęła na pedał gazu i pomknęła przed siebie. Chyba w tym jej nudnym i od dłuższego czasu bezpiecznym życiu brakowało ryzyka. Mając ataki, żyła jakby na adrenalinie, zastanawiając się nieustannie nad tym, czy czasem za pięć minut nie wyrznie głową o szafkę, latarnię albo ścianę. Od kiedy napady ustały, bywały nawet takie dni, że zapominała o tym, że jest chora.

Gdy ten człowiek wbiegł przed maskę jej samochodu, poczuła znajome pobudzenie i po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna pomyślała o tym, że za chwilę zacznie się coś dziać. Sekundę później uznała, że wtedy jej rodzice i brat powiedzą: „A nie mówiliśmy? Oddawaj kluczyki! Od dziś poruszasz się pieszo!”. Zebrała się więc w sobie i zachowała spokój. Nie bardzo tylko

wiedziała, ile w nim wytrwa, nim przekroczy granice swojej psychicznej wytrzymałości.

- Bylebyś tylko nie dzwonił do Kolumbii, do kumpli z kartelu. -

Wjechała autem za budynek lokalnego sklepiku i zgasiła silnik, a potem wsadziła dłoń w wewnętrzną kieszeń swojej jeansowej kurtki. Problem pojawił się wtedy, kiedy jej ręka zaczęła się trząść tak, że nie mogła wyciągnąć telefonu z ciasnej kieszonki.

Nie był to dobry objaw.

- Pomogę ci. - Nim zorientowała się, co ten człowiek ma zamiar zrobić, zbliżył się do niej na taką odległość, że poczuła bardzo przyjemny, miętowy zapach jego perfum. Skupiła całą swoją uwagę na uspokojeniu drżącej kończyny, co nie było wcale takie łatwe.

Miłe łaskotanie w podbrzuszu nieco jej pomogło.

Aleksander włożył dłoń pod jej kurtkę. Telefon znajdował się po lewej stronie, a wewnętrzna kieszeń umiejscowiona była na wysokości piersi. Chciał nie chciał, na ułamek sekundy zahaczył o wystający kawałek ciała, ubrany w obcisły podkoszulek. No dobrze, wcale nie taki kawałek, naprawdę spory element. Dodatkowo ta kobieta bardzo przyjemnie pachniała.

Pomarańczami.

- Dziękuję - wymamrotał, gdy w jego dłoni znalazła się jej komórka. - Potrzebuję wykonać dwa połączenia, wtedy będę wiedział, gdzie mam jechać. Czy mogę liczyć na twoją pomoc? Oczywiście zapłacę za czas i paliwo.

- Zapłata jest zbędna. Pomogę ci.

Aleksander pokiwał głową, uznając, że ma do czynienia z niezwykle honorową przedstawicielką klasy raczej średniej, o czym naturalnie świadczyła marka jej auta.

- Pozwolisz, że na chwilę cię opuszczę? - Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i zniknął z auta.

- Co za bufon - prychnęła pod nosem, włączyła radio i przymknęła powieki. Potrzebowała się wyciszyć, a kojąca muzyka, która dobiegała do jej uszu, była świetnym lekarstwem. Oddychała powoli, trzymając dłonie na kierownicy, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Z każdym wdechem wyobrażała sobie, że zamienia się w powietrze i tym samym nie ogranicza jej zupełnie

nic. Z każdym wydechem otaczało ją przyjemne ciepło. I pewnie trwałaby w tym relaksującym nastroju, gdyby nie strzępki rozmowy, jakie dobiegały do niej z zewnątrz.

„Boże – pomyślała Amelia – jeśli ten facet chce pozostać niezauważony, to powinien zacząć od zaklejenia sobie gęby szarą taśmą”. Aleksander faktycznie miał donośny głos, ale tym razem był też wściekły, co jeszcze bardziej potęgowało jego wzburzenie. Nie ma się w zasadzie czemu dziwić, ponieważ to, co go spotkało, nie mogło nastrajać pozytywnymi myślami.

– Mam problem. – Pierwszy telefon wykonał do swojego najlepszego przyjaciela, Tomka Balcera. Jego numer znał na pamięć.

– Olek! Od dwóch godzin próbuję się z tobą skontaktować. Gdzie ty, do cholery, jesteś?

– W Łodzi. To znaczy na jakiejś wsi pod Łodzią. Bez wdawania się w szczegóły, bo jestem zły. Nie mam też swojego telefonu, papierosów, alkoholu i nikogo, komu mógłbym przypieprzyć. Kiedy możesz tutaj być?

– Żebyś mi przywalił? – Tomek zaczął się śmiać. Miał dobry humor. – Najwcześniej rano.

– A nie możesz, no, kurwa, nie wiem, za dwie godziny? – Aleksander humor miał z kolei bardzo kiepski.

– Nie, nie mogę. Zajęty jestem. Dzisiejszy wieczór spędzam z moją drugą połówką. Panem Tadeuszem. – Dźwięk uderzenia szkła o szkło świadczył o tym, że zapewne liczba promili w krwi Tomka nie pozwalała na kierowanie autem.

– Dobra – westchnął Olek. – Daj mi namiar do Rity. Nie dzwoń na ten numer i widzę cię rano.

Chwilę później, gdy Aleksander wykonał kolejne połączenie, które miało zapewnić mu bezpieczny nocleg, wsiadł do samochodu.

– Dziękuję. – Oddał Amelii telefon.

Wyciągnęła dłoń po swoją własność i zapytała:

– Chyba należą mi się wyjaśnienia. Ale jeszcze wcześniej miło by było, gdybyś zechciał mi powiedzieć, jak masz na imię.

– Olek. – Aż sam się zdziwił, dlaczego przedstawił się jej formą swego imienia zarezerwowaną wyłącznie dla zaufanych przyjaciół.

Dla wszystkich innych był Aleksandrem Wolffem.

- Amelia. Nie powiem, żeby było mi miło. Dziwnie, owszem. Ale powiedz mi, Olku, kim ty jesteś, że biegasz o tak późnej porze po lesie? Na grzybiarza ani tym bardziej sportowca mi nie wyglądasz. -

„Ale na niegrzecznego chłopca, a raczej mężczyznę, już jak najbardziej” - dodała w myślach.

- Będzie ci się lepiej żyło bez takich szczegółowych informacji. Zaufaj mi. - Czyli jednak nie usłyszała tego, co do niej mówił przez zamkniętą szybę samochodu. Że wsadzili go do bagażnika. Lepiej dla niej.

- Nie wyglądasz mi na kogoś, komu mogłabym zaufać. - Posłała mu kpiące spojrzenie.

- Pracujesz w skarbowce? - Samochód był zaparkowany nieopodal latarni, tym samym widział jej mało urodziwą twarz. Za to barwę głosu miała bardzo przyjemną. Bardzo.

- Nie, w telefonie zaufania. Jestem wolontariuszką.

- Czyli lubisz pomagać i dlatego uznałaś, że pomożesz też mnie. Mam rację?

- Będzie ci się lepiej żyło bez takich szczegółowych informacji - odbiła piłeczkę, no bo co miała mu powiedzieć? Że wiele wskazuje na to, iż jej organizm jest tak uzależniony od adrenaliny, że gdy tylko nadarzyła się sposobność na jej skok, od razu skorzystała? Może na początku miała małe wątpliwości, ale koniec końców zdecydowała, że pomoże temu człowiekowi, nie bacząc na to, że przecież mógłby ją skrzywdzić.

No i jeszcze ta jej „praca”.

Psychoterapeuta doradził, aby znalazła sobie jakieś zajęcie, które pomoże jej w odcięciu się od choroby. Tyle tylko, że jej rodzice nawet nie chcieli słyszeć o pracy zarobkowej, wymagającej fizycznego obcowania z innymi ludźmi, uparcie twierdząc, że Mela nie musi tego robić. Może i nie musiała, ale potrzebowała kontaktu z drugim człowiekiem. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że typowe zarobkowe zajęcie również nie wchodzi w grę, bo mało kto będzie chciał podjąć ryzyko i zatrudnić kogoś chorego na epilepsję. I znowu przyszedł z pomocą internet i wzmianka o telefonie zaufania. Oczywiście wiązało się to z samodzielnym wychodzeniem

z domu – co prawda tylko kilka razy w miesiącu – czego początkowo nie mógł przeboleć jej nadopiekuńczy ojciec, ale koniec końców uległ. I tak oto z dniem pierwszego lutego dwa tysiące osiemnastego roku, gdy Amelia skończyła dwadzieścia pięć lat i wszystkie szkolenia niezbędne do podjęcia tego zajęcia, odebrała swój pierwszy telefon.

Czuła się potrzebna i była niesamowicie wdzięczna za to, że mimo choroby dostała tak ogromny kredyt zaufania.

– Potrzebuję dostać się do centrum. – Aleksander podał jej adres.

– Wiem, gdzie to jest. Zawiozę cię... – Nie dokończyła zdania, ponieważ w tym samym momencie rozdzwonił się jej telefon. – To moja babcia, muszę odebrać. Tylko bądź cicho. – Włączyła tryb głośnomówiący i ruszyła przed siebie.

– Melka, gdzie ty jesteś? – Ciepły głos babci wyrażał zaniepokojenie.

– Niedługo będę.

– Bardzo mnie to cieszy, ale gdzie ty jesteś w tym momencie? Dzwoniła do mnie Olga i powiedziała, że uciekłaś z imprezy. Jak będziesz tak robić, to ty sobie nigdy męża nie znajdziesz, moja droga. Nie idź tą drogą. Twoja kuzynka pytała się też, czy już dojechałaś. Martwi się o ciebie, a jak próbowała się chwilę temu z tobą skontaktować, to miałaś zajęty telefon, więc od razu uznała, że musiałaś mieć wypadek i ktoś z twojego numeru powiadamia rodzinę tragicznie zmarłej...

– Babciu, błagam cię, skończcie z tym czarnowidztwem. Jestem dorosła i potrafię o siebie zadbać.

– Co babciu, co babciu? To ja wymusiłam na twoim ojcu zakup auta i gdyby ci się coś stało, to na mnie by pomstował. A wiesz, że atak może...

– Nic mi się nie stało i nie stanie! Muszę kończyć – przerwała babciny wywód dość ostro. Może ciut za ostro. Błędem było odbieranie telefonu na głośniku.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Pa. – Rozłączyła się.

Do momentu aż Aleksander nie opuścił samochodu, oboje milczeli. Gdy Amelia podjechała pod wskazany adres, spojrzął na

nią, mrużąc oczy w dziwny sposób, a potem powiedział, żeby chwilę poczekała, bo chciałby się z nią rozliczyć. Tylko najpierw musi iść po pieniądze.

Gdy wrócił, jej już nie było.

Rozdział 2

Ból głowy, poczucie, jakby cały świat przyśpieszał i poruszał się z zawrotną prędkością, nawet jeśli człowiek stał w miejscu. Setki niewyraźnych obrazów przed oczyma, uczucie osamotnienia i paniki. Dzwonienie w uszach. Po ponad czterdziestu ośmiu długich miesiącach, pozbawionych lęku, Amelia przerwała passę życia bez ataków.

Tym razem mogła się jednak nazwać szczęściarą, bo zdążyła wjechać na podwórko i wejść do domu, nie rozbijając wcześniej auta. Gdy później o tym myślała, uznała, że ktoś musiał nad nią czuwać i doprowadzić ją bezpiecznie do celu podróży. Nie istniało bowiem inne logiczne wytłumaczenie tej sytuacji.

Babcia Janka, gdy tylko ją zobaczyła, wykrzyknęła:

- Jola! Jola, chodź tutaj, szybko! Znowu się zaczyna!

Po czym poznała, że ukochana wnuczka za chwilę straci kontakt z rzeczywistością?

Gdy Mela weszła do kuchni i osunęła się na babciny fotel, jej wzrok był tak pusty, jak stojąca na stole szklanka, w której jeszcze chwilę wcześniej był kompot. Kilka sekund później widoczne były tylko białka jej oczu. Ręce Amelii zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, a jej usta drgały raz w lewą, raz w prawą stronę. W pewnym momencie gałki oczne przestały się poruszać, zamiast tego zaczęła mrugać powiekami. Kąciki ust i policzki również żyły swoim własnym życiem. Wyglądało to tak, jakby poszczególne elementy znajdujące się na twarzy Meli nie mogły dojść ze sobą do porozumienia. Jej głowa zaczęła się przekręcać lekko na prawy bok, aż znieruchomiła.

W kuchni pojawiła się Jolanta Wysocka, korpulentna pięćdziesięciolatka. Tuż za nią podążał jej mąż, Henryk.

- Biedne dziecko. - Babcia opadła na krzesło i wzrokiem pełnym miłości patrzyła na nieświadomą niczego wnuczkę.

- To delikatny atak. - Jola usiadła tuż przy córce. Minutę później Amelia zamrugała kilkukrotnie i przeciągnęła się leniwie. Jak to zwykle po drgawkach bywało, zaczęła ziewać. I pewnie zaraz poprosi o kawałek czekolady.

- Czekoladę bym zjadła. Z truskawkami. Mamy?

- Mamy. - Babcia zajrzała do szafki, w której trzymała słodczyce dla swoich młodszych wnuków. I dla łakomego zięcia też. Truskawkowa czekolada również tam była. - Proszę. - Podała wnuczce tabliczkę.

- Rozumiem, że Amanda wpadła z wizytą. Czy jakieś większe szkody wyrządziła? - Mela włożyła sobie do ust kawałek słodkiego lekarstwa i przytknęła na chwilę powieki.

Gdy dostała drugiego w swoim życiu ataku padaczki, który potwierdził jej chorobę, mama wyczytała w jakimś poradniku, że córka powinna zaprzyjaźnić się z epilepsją i traktować ją jak swoją najlepszą przyjaciółkę. Mela zaczęła się wtedy śmiać, ale aby uspokoić rodzicielkę, posłuchała jej rady i swoją niedyspozycję nazwała Amandą.

Na cześć swej pierwszej lalki Barbie.

Jednak minęło jeszcze wiele czasu, nim zaakceptowała obecność Amandy w swoim życiu i w ciele. Bardzo prawdopodobne, że niechciana lokatorka zacznie znowu wpadać z częstymi, niezapowiedzianymi wizytami.

- Tym razem obejdzie się bez karetki. Co się stało? Skąd taka nagła reakcja? - Jola pogłaskała ją z czułością po głowie. Mimo że Amelia od czterech lat nie miała ataku, nie było dnia, w którym jej matka nie myślałaby o chorobie córki. Nieraz w tajemnicy przed innymi domownikami zamykała się w łazience, bo tylko tam mogła sobie popłakać i uzalać nad niesprawiedliwością, jaka dotknęła jej Mele. Nagły nawrót choroby napełnił ją strachem.

- Dzik. Dzik wybiegł mi na drogę i się go wystraszyłam. - Przecież nie powie nikomu, że spotkała w środku lasu mężczyznę, który, wszystko na to wskazywało, przed czymś uciekał. Przed kimś zapewne. To było zbyt ekscytujące, żeby mogła się z kimkolwiek podzielić tą informacją. - Bardzo chce mi się spać.

- Oddaj mi kluczyki od auta. - Ojciec wyciągnął w jej stronę swoją spracowaną dłoń.

- Ale...

- Żadnego ale. Zbyt mocno cię kochamy, żeby pozwolić ci narażać się na niebezpieczeństwo. Ten pomysł z samochodem od samego

początku był zły. – Henryk posłał swojej teściowej karcące spojrzenie. – Oddaj mi kluczyki.

– Ale tato, przecież nic wielkiego się nie stało. Panuję nad tym. – Amelia zacisnęła kurczowo dłoń na swojej torebce. Jeśli odbiorą jej możliwość jazdy samochodem, to będzie koniec. Koniec jako takiej niezależności.

– Mela, daj już spokój. To dla twojego dobra. – Tym razem odezwała się mama.

– Mamo... ten samochód to jedyna rzecz, która daje mi poczucie wolności. Proszę cię... Babciu... – Spojrzała błagalnie na seniorkę rodu, stojącą zawsze po jej stronie. Ufała, że i tym razem będzie tak samo i znajdzie w niej sojuszniczkę. – To był tylko dzik. Każdy by się wystraszył.

– Melciu, uważam, że tak będzie lepiej. Dobrze wiesz, na jakich warunkach dostałaś samochód i prawo jazdy. Przykro mi. – O dziwo babcia Janka miała dziś inne zdanie niż zazwyczaj. Zdanie, które bardzo zawiodło Amelię.

– A moja praca? – Jeśli straci możliwość rozmowy z tymi wszystkimi ludźmi, którzy potrzebowali jej pomocy, to chyba oszaleje. Nawet rodzice musieli zdawać sobie sprawę z tego, jak działał na nią wolontariat w telefonie zaufania.

– Te kilka razy w miesiącu będę cię woził ja, mama albo Hubert. – Ojciec, mimo że był nieugięty, wiedział, jak pozytywnie oddziaływało na Amelię pomaganie innym ludziom.

– Przez was czuję się jak niepełnosprawna. Gdybyście tylko mogli, zabronilibyście mi samodzielnego myślenia, a ty – wskazała palcem na matkę – karmiłabyś mnie w krzeselku dla niemowląt. Nienawidzę swojego życia! – Nim wygrzebała kluczyki z torebki, minęła chwila. Wzburzenie, jakie ją ogarnęło, nie pozwalało na zbyt szybkie reagowanie. Rzuciła na stół pęk kluczy, wzięła czekoladę i z wysoko uniesioną głową wyszła z kuchni. W głębi serca dobrze wiedziała, że oni mają rację, potrzebowała jednak trochę czasu, aby się z tym oswoić.

– Co jak co, ale charakterek to ona zawsze miała. – Henryk niespecjalnie przejął się fochem córki. Jeśli o niego chodziło, to

faktycznie dla jej bezpieczeństwa gotów był wynająć całodobową ochronę.

- Do rana się uspokoi i zrozumie, że to dla jej dobra. Jutro zadzwonię do lekarki. Prosiła, aby powiadomić ją, gdyby ataki się wznowiły.

Gdy na dole trwała rozmowa trójki domowników, Amelia ciskała swoimi ubraniami po całej łazience.

- Nienawidzę go. Nie znam go, a go nienawidzę. - Uczucie to skierowane było w tego obcego mężczyznę spotkanego w lesie. Gdyby nie on, od godziny czytałaby książkę. Gdyby nie on, nikt nie zabrałby jej kluczyków od auta, bo nie doszłoby do żadnego ataku. -

Po co ja tamtędy jechałam? No, po co? - Pytanie to pozostało bez odpowiedzi.

Oparła dłonie o marmurowy blat i spojrzała w lustro.

Amelia uważała się za kobietę nienachalnie urodziwą, żeby nie powiedzieć „brzydką” i tym samym jeszcze bardziej nie pogrążyć się we własnych oczach. Dlatego właśnie „nienachalnie urodziwa” było według Meli idealnym określeniem dla jej lustrzanego odbicia. Mysie włosy do ramion, szczupła twarz upstrzona piegami, wąskie usta, zadarty nos i ogromne oczy w kolorze jasnego błękitu. Olga powiedziała jej dzisiaj, że ten jej kolega, Marcin, nie mógł oderwać od niej wzroku. Mela dobrze wiedziała, że nie chodziło mu o jej twarz. Chodziło mu o ogromne piersi. Bo nawet słowo „duże” w tym przypadku było grubym niedopowiedzeniem. Pomyślała sobie, że gdyby chodziła w papierowej torbie na głowie, wyglądałaby sto razy lepiej niż bez niej.

- W sumie, gdyby odciąć mi głowę, mogłabym się podobać. - Z tymi słowami opuściła łazienkę.

Straciła ochotę na czytanie, a senność, która dopadła ją po ataku, jakby odleciała w niebyt. Położyła się na łóżku, oparła o zagłówek, ręce zaplotła na piersiach, przymknęła powieki i oddała się przemyśleniom. I może nawet doszłaby do jakichś głębszych wniosków, dotyczących się nawrotu choroby, gdyby nie dźwięk telefonu. Nie знаła numeru, który dzwonił.

Odrzuciła połączenie.

Telefon rozdzwonił się ponownie.

Znów odrzuciła i napisała SMS-a, że znajduje się poza granicami kraju i niestety jej operator słono sobie liczy za odbieranie rozmów. Ktoś w odpowiedzi zapytał, czy ten kraj to Kolumbia. Na końcu wiadomości dodał uśmiezek i pozdrowienia. I to wystarczyło, aby Amelia oddzwoniła. Ufała, że nie jest to jakiś naciągacz, który najpierw dzwoni, a gdy ktoś odbierze, rozłącza się i czeka na połączenie zwrotne, które zrujnuje ją finansowo. To znaczy miała nadzieję, że oszuci nie odpisując w tak zaczepnie prowokacyjny sposób na SMS-y. Zupełnie zapomniała o tym, że słowo „Kolumbia” już padło dziś z jej ust. Była zbyt rozkojarzona wieczorną sytuacją, aby o tym pamiętać.

- Z kim mam przyjemność? Albo dołożymy do tego przedrostek „nie” - zapytała, gdy ktoś odebrał.

- Nie dość, że kłamiesz, to jeszcze odjeżdżasz bez pożegnania. Nie wiem, kto zajmował się twoją edukacją, ale jeśli chcesz, mogę pożyczyć ci podręcznik dobrego wychowania, abyś nadrobiła te ewidentne braki. - Męski głos, który usłyszała, był bardzo elektryzujący. Już wiedziała, kto do niej dzwoni. I nawet nie była zdziwiona tym, że ten człowiek zna jej numer. W końcu skorzystał z jej telefonu, aby do kogoś zadzwonić.

- Może lepiej sam go najpierw przeczytaj. Dla lepszego efektu trzy razy. Może w którymś rozdziale wspomnieli, jak w kulturalny sposób wbiegać przed maskę samochodu?

- Czyli pierwsze wrażenie wypadło kiepsko? - Jego śmiech przez telefon brzmiał bardzo erotycznie.

- Niestety tak, a najgorsze jest to, że nie da się go powtórzyć. - Uśmiechnęła się nieświadomie.

- Pozostaje mi odbić piłeczkę i powiedzieć, że ty również zachowałeś się bardzo niegrzecznie. Oczywiście dziękuję za to, że poświęciłeś swój czas i paliwo, żeby mi pomóc. Tyle tylko, że gdy chciałem się zrekompensować, ty sobie po prostu odjechałaś. Bez słowa.

- Bo wychodzę z założenia, że dobro wraca i prędzej czy później i tak mnie dogoni. Biorąc jednak pod uwagę niesztampowość naszej znajomości, wolałam nie wywoływać wilka z lasu zbyt szybko.

- Muszę ci się do czegoś przyznać. Nazywam się Wolff, Aleksander Wolff. - Po dosłownie dwóch sekundach ciszy Amelia zaczęła się śmiać. Spodobało mu się to, że tak błyskawicznie wyłapała kontekst żartu.

- Tego właśnie było mi trzeba na zakończenie tak popieprzonego dnia - wyznała, nieświadoma konsekwencji dalszej rozmowy. - Spotkać złego wilka w lesie. Wilka Olka.

- Czerwony Kapturek, uważasz spotkanie mnie za coś złego?

- Tak. - Takiej bezpośredniości to on się zdecydowanie nie spodziewał.

- Aua.

- Ojciec zarekwirował mi kluczyki od auta, więc nie jest to pozytywna informacja. - Co prawda jeszcze chwilę temu, dosłownie tuż przed tym, jak do niej zadzwonił, nienawidziła go z całego serca. W momencie, w którym usłyszała jego głos, nienawiść zmieniła się w delikatny żal. Naturalnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że zaczarował ją tembr jego głosu.

- Dlaczego? Bo spóźniłaś się na wieczorynkę? Ile ty masz lat, żeby tatuś zabierał ci kluczyki od samochodu? - zakpił, wyciągając zbyt daleko idące wnioski.

Nie pierwszy raz w życiu zresztą.

Amelia otworzyła usta, żeby powiedzieć mu w kilku mało cenzuralnych słowach, co myśli o takim zachowaniu, i gdy już, już miała rzucić w jego kierunku pierwszą kurwą, uznała, że jednak tego nie zrobi. Uznała za to, że pokaże mu klasę. Może ten baran się przy okazji czegoś nauczy. I jeśli do tej pory miała dość duże opory przed informowaniem obcych osób o swojej chorobie, tak w tym właśnie momencie hamulec bezpieczeństwa został konkretnie popuszczony.

- Mam dwadzieścia pięć lat, a od dziesięciu choruję na epilepsję. Gdy wróciłam do domu, miałam atak, najprawdopodobniej spowodowany tym, że spotkałam cię w tak dziwnych okolicznościach przyrody. Był to pierwszy od czterech lat napad, tak że troska mojego taty jest w pełni uzasadniona. - Wielka szkoda, że Henryk nie słyszał tych słów, albo jeszcze lepiej: nie nagrywał ich sobie ku pamięci. - Nikomu o tobie nie powiedziałam, bo tak

naprawdę nie ma się czym chwalić. Powiedziałam za to, że spotkałam dzika i dlatego dostałam drgawek. I wiesz, co jeszcze ci powiem? Bardzo dobrze, że ojciec zabrał mi kluczyki, bo już nigdy więcej nie zabiorę na stopa takiego podstarzałego buraka jak ty. Żegnam!

Wciskając czerwoną słuchawkę, poczuła pewnego rodzaju satysfakcję. Chwilę później spała, a gdy rano otworzyła oczy, zobaczyła wpatrującą się w nią twarz matki. Patrząc na rozkładany fotel i kołdrę, która na nim leżała, Amelia doszła do wniosku, że jej rodzicielka musiała spędzić minioną noc w jej pokoju.

Nie napawało jej to optymizmem.